№ 27. 3. Lipca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Słowacy wobec setnej rocznicy urodzin Jana Kollara.

Sto lat mija właśnie od czasu, jak wielki wieszcz słowiański, Jan Kollar, ujrzał światło dzienne na Słowaczczyźnie zakarpackiej. Cały świat słowiański przygotowuje się tedy do godnego uczczenia pamięci genialnego piewcy, który siłą swej pieśni przyczynił się do rozbudzenia uśpionego ducha w rzeszy ludów słowiańskich.

Twórca *Dcery Slavy* pisał po czesku, z pochodzenia jednak był i czuł się Słowakiem. W pierwszym więc rzędzie lud słowacki sposobi się do złożenia hołdu pamięci wielkiego rodaka swego. W jaki sposób uczynić to zamierza, wypowiada w odezwie, drukowanej we wszystkich językach słowiańskich, a nam w języku polskim nadesłanej, komitet uroczystościowy, w skład którego wchodzą wybitni patrjoci słowaccy.

Odezwa ta brzmi:

Naród, który nie czci pamięci swoich wielkich mężów, albo ich nie rozumie albo pozbawionym jest dumy narodowej.

A przecież i wśród nas są ludzie, którzy zasługują w całem znaczeniu tego słowa na cześć i szacunek.

W dniu 29. lipca r. b. upływa sto lat, jak w miasteczku Moszowce na Słoweńsku ujrzał światło dzienne wielki poeta-wieszcz słowiański Jan Kollar.

Z prawdziwą dumą przechowujemy w głębi serc naszych imię naszego nieśmiertelnego twórcy wiekopomnego dzieła »Córy Sławy«, którem rozbudził wśród nas uczucia braterstwa, pochodzenia jak i wielkości ludów słowiańskich.

Tak drogą sercom naszym rocznicę stuletnią urodzin Jana Kollara obchodzi uroczyście cały świat słowiański a w tej liczbie i my Słowacy, jako najbliżsi spadkobiercy jego ducha obchodzić będziemy w dniu 1. sierpnia r. b. w Turcz. św. Martinie wieczorem i w dniu 2. tegoż miesiąca w miejscu jego urodzenia w Moszowcach.

Na tę wiekopomną uroczystość, zapraszamy wszystkich, w których żyłach płynie krew słowiańska.

Pragnąc zaś obchodem stuletniej uroczystości urodzin Jana Kollara pozostawić niezatarte wśród braci Słowian wspomnienie, postanowiliśmy ten dzień upamiętnić w taki sposób, aby młodzież nieustannie wzrastała w duchu jego wielkiej idei i aby przekazywała takowe potomności, bo, jak słusznie powiedział Kollar:

»Najdroższą krwią naszą
gaszą wrodzy swoje pragnienie!«

Dla osiągnięcia tego celu postanowiliśmy utworzyć »stypendjum imienia Jana Kollara« dla wspierania niezamożnej młodzieży słowackiej, kształcącej się w niższych i wyższych zakładach naukowych.

Niżej podpisany komitet dla przechowania i udzielania zapomóg »Kollarowskiego stypendjum« będzie w miarę potrzeby dopełniał się sam według własnego przekonania.

W razie pomyślnego napływu składek pieniężnych, kupimy i stosownie upamiętnimy i samo miejsce urodzenia Jana Kollara.

Wskutek tego prosimy wszystkich braci Słowian o szczodre i hojne składki, bo w ten tylko sposób spełnimy wieszcze Jego słowa, które brzmią:

»... Często sama wielkość
przedsięwzięcia dodaje sił nowych«;

i dalej zaznaczył:

»Z wiarą bracia Słowianie a przyjdzie czas
że rozrzuceni po szerokim świecie połączymy się wraz«.

A wiarę tę w nas podtrzymywać będzie pamięć na słowa nieśmiertelnego wieszcza naszego Jana Kollara!

W Turcz. św. Martinie w dzień pamięci św. Cyryla i Metodego.

Pavel Mudron. Matus Dula. Ambro Pietor. Miloslav Kremery. Ignac Orszagh. Jan Valocky ml. *Andrej Halasa.*

Składki należy przysyłać do redakcyi »Narodnich Nowin« w Turcz. św. Martinie (Turócz-Szt.-Márton) w Górnych Węgrzech.

Jan Kasprowicz.

Z gawęd i opowiadań.

III.

Hanka Olpińska.

Spiritus flat ubi vult.

I.

Prawią nam biblje o przeróżnych Jobach,
Opowiadają że byli tu święci,
Co marli żywcem pogrzebani w grobach,
Albo ginęli na krzyżach rozpięci,
I że w dzisiejszych używania dobach,
Gdzie każdy tylko ma siebie w pamięci,
Nikogo w ludzkim nie znajdziemy tłumie,
O którym rzecby można: O, ten cierpieć umie.

* * *

W niejednej baśni, w niejednej legendzie
I na niejednej dawnych dziejów karcie
Gubi się oko w bohaterów rzędzie,
Co ogłosiwszy prawem praw zaparcie,
Szlachetnej krwi swej nie mając na względzie,
Mężnie zwalczali światowładztwo czarcie —
A zaś z tych legend i z tych kart wynika,
Że dzisiaj nikt w przebojach życia nie zamyka.

* * *

A jednak duch ten, co płodził rycerzy,
Co męczenników prowadził na stosy,
I dzisiaj jeszcze swoje ziarna szerzy,
Z których brzemienne wyrastają kłosy;
W pierś on niejedną i dzisiaj uderzy;
Że dźwięk wydaje, jak ten dzwon, w niebiosy,
Stary swój hejnał, ku drodze gwiazd mlecznej,
Bo duch ten z Boga idzie, bo ten duch jest wieczny.

* * *

Tylko ta dzisiaj zachodzi różnica,
Że owi ducha bożego wybrańce,
W szyszak żelazny nie skrywają lica,
Jak ci, co biegli odpierać pohańce,
Orły cezarów, rogi półksiężyca;
Że na bojowe występują szańce
Bosi, obdarci, spragnieni i głodni,
A cisi — bez surm, kotłów, bez blasku pochodni

* * *

I takie czasów dzisiejszych jest znamie,
Że człek cierpienia nie smaga się codzień,
Grzbiet odsłoniwszy w najludniejszej bramie,
Ażeby grzeszny, ułomny przechodzień
Miał do kajania bodziec w krwawej plamie,
Aby lesbijski lub sodomski zbrodzień,
Szczęście widzący w zmysłowej przewinie,
Nauczył się rozkoszy szukać w dyscyplinie.

* * *

Dziś, jeśli walczą, to walczą ukryci,
Drobni, zaledwie okiem dostrzegalni,
Jak te pajączki, co z jedwabnych nici,
Uwitych w ciała własnego przędzalni,
Snowają siatki kunsztowne: pochwyci
Wiatr je lub owad i zerwie, nawalniej
Jeszcze się biorą do cichego trudu
Sztukmistrze, aż na nowo nie dokażą cudu.

* * *

Dziś, jeśli cierpią, to tak jak te zioła,
Jak ten rozchodnik albo szczaw ubogi,
Które na miedzach rosną lub dokoła
Polnej, dzielącej cudze schedy drogi,
Wiją się z bolu, uginają czoła,
Gdy na nich spocznie ciężar ludzkiej nogi,
I potem znów się do góry podniosą,
Po cichu zapłakawszy srebrną, ranną rosą.

* * *

Chcesz się przekonać, chcesz na własne oczy
Ujrzeć, gdzie dziś swój uczynił przystanek
Duch, co swe koła słoneczne wciąż toczy,
Idź i do chłopskich zaglądnij lepianek
Lub nor fabrycznych, między tłum roboczy,
Gdzie ludzi w łóżkach nie zastaje ranek,
Gdzie wieczór braknie snu dla ciężkich powiek:
Tam cierpieć i tam walczyć umie prosty człowiek.

* * *

Tam nie jedynie o ten kęs powszedni
O czarny kęs ten, co jak miód jest słodki
Dla szarej rzeszy, walczą ludzie biedni:
Kielnie i heble, kilofy i młotki,
Cepy i kosy podnoszą niejedni,
Roniąc pot krwawy, dla kwiatu szarotki,
Dla tej cudownej rośliny, co ciska
Swój urok z niedosięgłych szczytów, z nad urwiska.

* * *

Tam dla tej gwiazdki, co świeci na niebie,
Dla tej jutrzenki, co się z mgieł wychyla
I potem znowu w ciemnych mgłach się grzebie,
Niejeden nędzarz swą duszę przesila
I swoje ciało. O wodzie i chlebie
Żyje, a marzy o skrzydłach motyla
I dla tych skrzydeł, zwodniczych, niestety.
Ze zdrowych krzepkich ludzi stają się szkielety.

* * *

Taka Hanusia Olpińska! Cierpienie
I bohaterskie ponad siły boje
Ślicznego kwiatu podcięły korzenie,
Że zwiądł, że liści zieleniące swoje
Na dół opuścił, że przewonne tchnienie,
Droższe, niż wszystkie balsamiczne zdroje,
Stracił przed czasem... Dziś sucha łodyga
Na wątłym, zgniłym grzbiecie ciężkie pyły dźwiga.

* * *

A pomnę — piękna była ponad zwyczaj!
Smagła, jak chójka w nieścinanym boru,
A twarz! a oczy!... Hejże nie wyliczaj
Cudnych składników niebiańskiego tworu;
Blasków od słońca, barw od róż pożyczaj,
Woni od rana, ciepła od wieczoru,
Dźwięków od wczesnej, skowrończanej śpiewki,
Jeżeli chcesz wysłowić urok chłopskiej dziewki...

* * *

Wyszła za szewca, jak wychodzi wiele
Cór wyrobniczych, które los wygania
Z chałup do miasta, gdzie ślubne im ziele,
Bóg wie, kto wije... Szewc był tego zdania,
Że »zawsze lepiej w karczmie niż w kościele«,
W szynku też codzień kieliszkiem wydzwania,
»Dźwięczniejsze bowiem szkło wydaje tony,
Niż kruszce, z których ludzie ulali swe dzwony«.

* * *

Pił, gdy był wesół, pił gdy chodził struty —
Zwłaszcza dla tego, że nikt jakoś miary
Nie myśli wcale wziąść na nowe buty:
Jakaś przyszczypka, jakiś obcas stary
Do naprawienia — to wszystko! Zbyt suty
Grosz ztąd nie płynie, aleć na opary
Marne półkwarcie juści że wystarczy,
Żona? — niech się o nią Bóg troską obarczy.

* * *

Zresztą — bełkotał — jak ma człek poczciwy,
Człowiek rozumny dbać o taką żonę,
Co nie słyszane chce wyprawiać dziwy,
I ma widocznie w głowie przewrócone!
Dał Bóg nam dziecię, chłopak, jak dwie śliwy
Jędrne ma pyski, z radości aż płonę,
Że będzie szewcem ta pociecha nasza
Lub krawcem, a zaś ona mieć chce — Mesyasza.

* * *

I szewc miał prawdę... Hanka sama nie wie,
Skąd jej się w głowie brały takie myśli;
Nieraz, jak piękna melodja w śpiewie,
Drży to w jej sercu. I wtedy to kreśli
Obraz w swej duszy, wonny, jak modrzewie:
»Na świat ten — mówi — różni ludzie przyśli —
Tacy i tacy, a któż zgadnąć może,
Że syn jej tak nie będzie jako dziecię Boże?«...

* * *

Czytała w książkach nieraz opowieści,
Jak wychodzili męże z niskich stanów,
Zrodzeni we łzach i ciężkiej boleści,
Lepsi od książąt i od możnych panów;
Jak potem wielkiej doznawali cześci,
Jak byli nakształt tych cudownych dzbanów,
Z których — tak pisze w niejednej książczynie —
Na świat, zmęczony trudem, miód i mleko płynie.

(d. n.)

Kartki naukowe.

III.

Wpływ elektryczności na rozwój roślin; nowy sposób elektrokultury. — Konieczność lepszego zbadania powietrza atmosferycznego; nagrody imienia Hodgkinsona. — Eliksir długiego życia; nowe powodzenia sequardyny.

Czy elektryczność wywiera dodatni wpływ na roślinność? Oto pytanie, które było przez długi czas przedmiotem niezmiernie ożywionych i różnorodnych sporów między uczonymi. Kwestję tem trudniej było rozstrzygnąć kategorycznie, ile że czynione doświadczenia, obok dodatnich rezultatów dawały i ujemne. Już od połowy 18 stulecia próbowano zastosować elektryczność do rolnictwa, a próby takie przedsiębrane były w kilku krajach europejskich przez ludzi dobrze zasłużonych w nauce. Przedewszystkiem starano się poznać, czy elektryczność naturalna, zawarta w powietrzu, wywiera wpływ na roślinność i jak wpływ ten się objawia. Oddawna bowiem rolnicy zauważyli, iż po burzy pisklęta prędzej z jaj wychodzą, a rośliny szybciej rosną; ale trzeba było udowodnić, że owe zmiany zachodzą pod wpływem elektryczności, a nie innej jakiej przyczyny.

Obecnie jest powszechnie przyjętem, że elektryczność powietrzna wywiera wpływ na roślinność, a rozmaite doświadczenia dowiodły, iż siła ta jest nawet niezbędną do rozwoju roślin. Wreszcie przed 15 laty robione doświadczenia stwierdziły, iż roślinność rozwija się lepiej w tych miejscach, gdzie wystawianą jest na działanie elektryczności powietrznej; zaś rośliny pozbawione tego wpływu są mizerne, wydają mniej owoców i nasion. Wszyscy znamy marne rośliny, wyrastające w cieniu drzew; obserwatorowie twierdzą, iż jedną z przyczyn, wstrzymujących wzrost owych roślin, jest brak elektryczności, gdyż drzewa zabierają takową dla siebie wyłącznie. Walka o byt istnieje nawet u tworów nie obdarzonych świadomością.

Drugi ważny i nowy wniosek naukowy jest ten, że elektryczność bezwarunkowo wywiera wpływ na kiełkowanie roślin, chociaż fakt ten jest jeszcze mało znany pomiędzy rolnikami. Wyniki tych doświadczeń znajdują się w ciekawej pracy p. Paulin'a (*De l'influence de l'electricité sur la végétation. 1892).*

Autor radzi, aby zmaczać nasiona przed elektryzowaniem, ponieważ suche są złymi przewodnikami. Drobne nasiona elektryzuje P. przez jeden dzień, a raczej dwanaście razy w ciągu dnia, większe nasiona elektryzuje 2—3 dni. Po ukończonej elektryzacyi najlepiej jest natychmiast przystąpić do zasiewu, nie osuszając nasion. Przekonano się, że elektryzowane nasionka kiełkują zadziwiająco szybko i w swym rozwoju wyprzedzają o cały miesiąc nasiona, zasiane zwyczajnym sposobem. W tych warunkach można zmusić do kiełkowania nasiona drzew, zebrane przed 20 laty.

Nie koniec na tem. Zauważano, iż rośliny, pochodzące z nasion elektrycznych posiadają nierównie więcej siły żywotnej, co wyraża się tem, że mają większe liście i silniejsze zabarwienie (doświadczenia Spechnewa z Kijowa).

Próbowano wreszcie ściągać elektryczność powietrzną na pola uprawne. Najnowszy i najwięcej udoskonalony przyrząd, używany przez p. Paulin'a, jestto długi drąg, mający od 14 — 20 metrów, zakończony metalową miotełką, osadzoną również na metalowym drążku. Miotełka odgry-

wa tu rolę kolektora; gromadząca się na niej elektryczność spływa po drucie umieszczonym wzdłuż drąga i przedostaje się do ziemi, w której ukryta jest siatka metalowa w takiej głębokości, aby nie przeszkadzała pracom rolnym.

Pierwsze doświadczenie z takim przyrządem dokonane było we Francji w 1891 r. na polu zasianem kartoflami. Już od początku czerwca przechodnie zdumieni byli różnicą, jaką dostrzegli na owem polu, a mianowicie na kawałku ziemi, gdzie rozchodziła się elektryczność za pośrednictwem siatki, roślinność była dwa razy bujniejszą, niż na reszcie pola i to bez żadnego przejścia i wydała kartofli po 90 kilog. na takim obszarze, na którym zbierano zwykle tylko po 60 kilogramów

Doświadczenia te były po wiele razy powtarzane w 1891 i 1892 r. w winnicach; przekonano się, iż wino prędzej dojrzewa i zawiera więcej cukru a mniej alkokolu w porównaniu do wina zbieranego ze zwyczajnych winnic. Ten sposób elektrokultury przy obecnym stanie nauki wydaje się więc najlepszym tak ze względu na otrzymane rezultaty, jakoteż na jego praktyczność i niewielkie koszta urządzenia.

Gdy przekonano się, że elektryczność wywiera dodatni wpływ na roślinność, było więc rzeczą całkiem naturalną, iż próbowano prowadzić elektro-kulturę za pośrednictwem maszyn elektrycznych. Wiele doświadczeń tego rodzaju przedsiębrał rossyjski prof. Selim Lemström między 1885 i 1887 rokiem, zarówno w laboratorjum, jak w oranżerji i na polu.

Ale metoda ta wydała sprzeczne skutki wobec rozmaitych roślin, tak iż możemy uważać ją za niedojrzałą jeszcze, aby mogła znaleść zastosowanie w produkcji rolnej. Natomiast metoda Paulin'a z elektrycznością naturalną, sprawdzana przez komisje naukowe, zasługuje na rozpowszechnienie.

Nie jest wszakże wiadomem dokładnie, jak wytłumaczyć dodatni wpływ elektryczności na roślinność; w oczekiwaniu zanim nauka wyjaśni nam ten punkt zagadkowy, rolnicy powinni zapatrywać się na elektryczność, jak na prosty bodziec i przez odpowiednie nawozy zwracać ziemi substancje odebrane jej przez zbiory.

Nie znamy również dokładnie powietrza atmosferycznego, potrzebne tu są jeszcze gruntowne badania; wiemy wprawdzie jaki jest chemiczny skład powietrza, ale to niewystarcza, bowiem do powietrza mogą być domieszane substancje, których zgoła nie znamy. Powstaje nawet pytanie czy powietrza nie zawiera niekiedy gazów lub innych ciał pochodzących z sąsiednich planet.

Na dowód, że zamało jeszcze zbadaliśmy istotę i własności powietrza, przytaczamy jeden chociażby przykład. Oto jeden z profesorów francuskich często obserwował na wybrzeżach Calvadosu i La Manche'u, że mgła posiada niekiedy pewien zapach, przypominający zapach gazów, wydzielających się przy spaleniu węgla drzewnego. Skąd pochodzi ten zapach? Niewiemy. P. Yourdan przypuszcza, że gazy te są trujące i że mogą być szkodliwe dla zdrowia; przypisuje on im pochodzenie kosmiczne. Czy tak jest w istocie czy też owe gazy mają pochodzenie ziemskie, badania dopiero rozstrzygną.

Amerykanie muszą być przeświadczeni o pożyteczności nowych badań nad powietrzem, bowiem Hodgkins zrobił znaczny zapis jednemu z najpopularniejszych stowarzyszeń naukowych w Waszyngtonie z wyraźnem zastrzeżeniem, aby główna część dochodów od ofiarowanego kapitału użytą była na »zdobywanie i rozpowszechnianie ściślejszych wiadomości niż obecne o istocie i własnościach powietrza atmosferycznego, mających związek z dobrobytem człowieka«. Stowarzyszenie naukowe, zgodnie z życzeniem donatora, ogłosiło obecnie trzy nagrody konkursowe, za poszukiwania i prace mające powietrze za przedmiot. Nagrody te są bardzo zachęcające, gdyż pierwsza wynosi 10.000, druga 2000, a trzecia 1000 dolarów. Ponieważ wszystkie bez różnicy narodowości mogą współubiegać się o te nagrody, więc też może i między Polakami znajdzie się ktoś, co zechce sięgnąć po laury, oczekujące za Oceanem.

Metoda lecznicza Brown-Séquarda nabiera coraz więcej rozgłosu i przekonywa nawet upartych sceptyków. Ostatniemi czasy o metodzie tej znowu wiele mówią we Francji i zagranicą, czytano o niej komunikat w Akademji nauk i w Towarzystwie biologicznem. Brown-Séquard istotnie dokazuje cudów, a chociaż eliksir jego nie darzy nieśmiertelnością, w każdym razie istnieje mnóstwo przykładów, że uleczył chorych, uchodzących za nieuleczalnych, w innych wypadkach polepszył ogólny stan zdrowia, obdarzył starców nowemi siłami do życia i pracy.

Jednym z tych świeżo uleczonych jest znakomity przyrodnik z Genewy, Karol Vogt, 76-letni starzec, od pewnego czasu upadający zupełnie na siłach. Gdy wszystkie leki okazały się bez wpływu, Vogt zdecydował się na zastrzykiwania sequardyny, a doświadczywszy jej błogich skutków, z niedowiarka stał się gorącym zwolennikiem tej metody, odzyskał bowiem siły i znowu pracować może umysłowo.

1200 lekarzy stosują już w swej praktyce zastrzykiwania tego organicznego płynu w najrozmaitszych cierpieniach, gdyż sequardyna leczy, jak się zdaje, wszystkie niemal cierpienia i to jest właśnie słaba strona tej metody, w którą przeciwnicy wymierzają swe pociski. W każdym razie niepodobna zaprzeczyć oczywistym i licznym faktom, lecz nie nadszedł jeszcze czas, aby umiano wytłumaczyć drogą naukową owe tajemnicze działanie eliksiru na zjawiska fizjologiczne.

Dr. M. Stefanowska.

Jakim sposobem rzeczywisty radca stanu został oćwiczony rózgami

czyli

wewnętrzna gospodarka Taszkienców.

Z „Nowych bajek Szczedryna" — przeł. tłumacz Kennana.

(Ciąg dalszy.)

Jakim sposobem mogło to wszystko dziać się przy istniejącym kodeksie w porządku i przyzwoitości?

Działo się to w sposób dziwny, lecz pomnę nastąpił tu pewien chaos.

Była jedna, jedyna chwila, gdy nagle wszystko się zmieniło, kiedy wypełzli ze swych nor jacyś włosaci ludzie, i zaczęli dowodzić, że „dobro", „piękno", „prawda" — wszystko to, są tylko czcze słowa, które powinny być wypełnione jakąś treścią, ażeby mogły dostąpić uznania.

— Co pan rozumiesz np. pod „dobrem?" zapytywali nas ci ludzie, a zapytywali tak śmiało i z taką pewnością siebie, że jakby w istocie nie było już żadnego kodeksu, podług którego można by się z niemi „rozprawić".

Pomimo to byliśmy do tego stopnia delikatni, (zauważcie, że mogliśmy nie być takimi) żeśmy im odpowiadali.

Pomnę, zaczerwieniłem się wtedy po raz pierwszy; dotąd wszystko wydawało mi się tak jasnem, tak niewątpliwem i naraz...

— Dobro! mówiliśmy: alboż każdemu z nas uczucie to nie jest wrodzonem? alboż każdy z nas nie zadrży na samo wspomnienie tego słowa? Czyż sam wyraz ten nie streszcza w sobie właściwego mu znaczenia?

Wypowiedziawszy to, umilkliśmy, przeświadczeni aż nadto o naszej słuszności.

— I cóż dalej? usłyszeliśmy zamiast przeczenia.

— Ha! — mówiliśmy — jeśli w ciężkich chwilach życia szukamy sobie pociechy, to w czemże znaleźć ją możemy, jeżeli nie w wysokich ideach dobra, piękna i prawdy? Czyż to samo nie wyjaśnia należycie znaczenia i celu dobra?

Umilkliśmy, rozumie się, znowu, sądząc, że zostaliśmy zrozumiani... Lecz w odpowiedzi na nasze słowa usłyszeliśmy zimny, jakby obojętny śmiech... Zrozumiałem, że śmiech ten jest „przeczeniem" i wtedy to po raz pierwszy wyrzekłem słowo: łajdaki!

Potem szło dalej i dalej: po „przeczeniu" nastąpiło „nieuznawanie władzy", dalej „niewiara", jeszcze dalej „naruszenie cudzej własności", dalej znów... teraz czuję że jestem u mety, że stanąłem w przystani...

Czasami zadaję sobie pytanie: coby to było gdyby żył Granowski*). Czy byłbym jego przyjacielem? Wiem dobrze że to daremne pytanie, lecz wyznaję że w czasie pierwszego mojego wystąpienia na arenę działania, wzruszyło mię on dość silnie. Bywały chwile, w których wątpliwość tę poddawałem pod sąd ludzi kompetentnych. Wielu z nich uchylało się od odpowiedzi, wielu odpowiadało ni tak ni siak; jeden wszakże wprawił mię w zdumienie, oznajmiając wprost bez ogródki.

— Pan! — zawołał prawie z krzykiem — pan przyjacielem Granowskiego!... Wszak on nie pozwoliłby ci nawet przestąpić swego progu!... Łajdaku jakiś!

* * *

— Powiedziałem już wyżej, żeśmy działali oddziałami, *par esquades.*

Mimo późnej pory „on" siedział i czytał książkę; nieślubna towarzyszka jego życia spała... Gdyśmy zadzwonili, sam otworzył nam drzwi. „On" nie zdawał się być przestraszonym, ani też zdziwionym, lecz jakby starał się zrozumieć... Wreszcie zrozumiał.

Pierwszem mojem zadaniem było pochwycić książkę.

Była treści filozoficznej.

— Otóż te książki, doprowadzają was do wszystkiego złego! rzekłem i sam już nie wiem jak to się stało, lecz rzuciłem książkę o ziemię i zacząłem ją deptać nogami.

»On« zdawał się cierpliwie wpatrywać w moje gwałtowne ruchy, nawet z pewnem ubolewaniem, jednakże nie protestował.

Z drugiego pokoju wyjrzała wystraszona twarz kobiety.

— Kto to? spytałem, wskazując na nią ręką.

— To... moja żona...

— Gdzieżto braliście ślub, przy krzaku rokicinowym?

— Przykro mi bardzo, lecz za mało oznajomiony jestem z ojczystemi »bylinami«**), ażebym mógł odpowiedzieć na pańskie zapytanie.

To było już zuchwalstwo.

— Zmuszę pana do pojmowania mię! wybuchnąłem.

— Wybacz pan, ale nie jestem w stanie pojmować więcej nad to, co pojmuję. Racz pan wyrażać się zrozumialej.

— A! ślubem cywilnym? Przebrzydłym ślubem cywilnym? rzekłem w uniesieniu.

— Teraz rozumiem... Tak, ślubem cywilnym!

---

*) Profesor uniwersytetu petersburskiego, osobistość powszechnie znana w Rosji ze swego wysokiego wykształcenia, wolnomyślności, sympatji i uznania u współczesnej młodzieży uniwersyteckiej... (Przyp. tłom.)

**) »Byliny« są to najdawniejsze podania rymowane. Dla literatury rosyjskiej są one szacownem i niewyczerpanym skarbem. (Przyp. tłom.)

— Oto dla niej religja! Pani... jak się tam nazywasz... Chciej przyjąć!*)

»Ona« ubrała się spiesznie i przyszła do nas. Widocznie, jeszcze nie zrozumiała.

— Cóż! weź! odezwał się »on«.

Lecz ona wciąż ociągała się, pytając oczyma jego, mnie, wszystkich... o wyjaśnienie tej zagadki... Nagle, twarz jej przybrała wyraz przerażenia... Zrozumiała... I cóż? Pokazało się, że to była córka szanownego naszego radcy stanu, uwiedziona podstępem przez nihilistów!...

Marsz!

* * *

Było to późną nocą; »on« już spał. Po kilkakrotnem, silnem pociągnięciu dzwonka, długo czekaliśmy, przysłuchując się, wszczynającemu się za drzwiami ruchowi, krzątaniu; zdawało się, że tej bieganinie nie będzie końca.

— Gdzież się znowu podziały moje ciżemki? dochodził naszych uszów »jego« głos.

Wreszcie ciżemki się znalazły i drzwi się otworzyły... »On« poznał nas od razu, lecz nietylko nie okazał żadnego zdziwienia, ale nawet przyjął nas z pewną swobodą.

Później pokazało się, że był już »szczwanym«.

— Aha! Goście! odezwał się dość wesoło: a czy nie ma tu czasem moich dobrych znajomych? nie ma? To nic, zabierzemy znajomość z nowymi!... Marie! wstawaj: mamy gości!

Pokazało się, że »on« był zuch i wesoły chłopiec. Na stole w gabinecie stały niesprzątnięte jeszcze resztki dość obfitej wieczerzy: szynka, ser, wędzonka i kawałki zimnego pasztetu... kilka rozpoczętych butelek wina i nawpół wypróżniona karafka wódki, dopełniały obrazu.

— Panowie! może pozwolicie? odezwał się, pokazując na zakąskę: — przed godziną mniej więcej mieliśmy gości, więc pozostała jeszcze jakaś zakąska. A ja tymczasem się ubiorę; wszakże trzeba mi będzie odprowadzić panów? albo raczej panowie mnie będziecie odprowadzać, nieprawdaż?

— Najniezawodniej, odpowiedziałem, zachwycony jego dobrodusznością, przytem nie mogłem nie dodać w duchu — gdyby to oni wszyscy byli takimi! Gościnny, uprzejmy, rozmowny...

Było to jedyne i wyjątkowe zdarzenie, że poczęstowano mię zakąską. Przychodziło mi nawet nieraz na myśl, że »oni« wcale nie jedzą i nie piją, i naraz... spotykam się z objawem staroszlacheckiej gościnności. I gdzież się spotykam?

Co spowodowało tego człowieka do rzucenia się w otchłań nihilizmu? Jaki tajemny podstęp oplątał go siecią nieprawości...

Rzecz niedocieczona.

**) Mowa tu o znanych powszechnie w Rosji „żółtych biletach", które rozpasane zbiry policyjne, pozwalają sobie wręczać najuczciwszym kobietom w celu ubliżenia im. (Prz. tłom.)

Uczyniliśmy zadość zaprosinom gościnnego gospodarza, i przyznam się, że ani spostrzegliśmy nawet jak szybko przeszedł nam czas na miłej pogawędce.

Rozmawialiśmy o wszystkiem, o socjalizmie, komunizmie, lecz bez żadnego rozdrażnienia, bez sprzeczki i z widocznem zadowoleniem... Raz tylko zmuszony byłem wyrazić się surowo, a mianowicie z powodu tej samej Marji, którą on przywołał na wstępie naszej wizyty i która obecnie z najwytworniejszą grzecznością częstowała nas wędlinami i pasztetem.

— Co właściwie pana łączy z tą kobietą? spytałem.

— To jest... moja żona... Może pan potrzebujesz wejść do sypialni? proszę, bardzo proszę, — nie krępuj się pan! Sam panu wszystko pokażę.

— Nie, w tej chwili nie mamy jeszcze potrzeby... ale żona... t. j. jakto żona? dodałem żartobliwie mrugnąwszy jednem okiem; około krzaku rokicinowego.

— Jeśli pan pod krzakiem rokicinowym rozumiesz...

Nie zdołał dokończyć.

— Dość łaskawy panie! zawołałem surowo, ażeby dać mu poznać, że delikatne obejście się nie daje jeszcze prawa do zuchwalstwa.

Gdyśmy już zakąsili i podpili sobie, »on« sam pokazał nam wszystko. W całem mieszkaniu nie było ani jednej książki, ani kawałeczka papieru, co wprawiło mię w prawdziwe zdumienie.

— Zadziwia pana brak książek i papierów? odezwał się gospodarz, zoczywszy na mojej twarzy mimowolną zmianę — chciejże pan z łaski swej zrozumieć, że zaczynając od 48 r., nieustannie podlegam odwiedzinom tego samego charakteru, co w obecnej chwili. Zdaje się, że to może wystarczyć do nabycia pewnego doświadczenia.

Przyznam się, że w każdym innym razie przezorność taka byłaby mię zmartwiła, obecnie jednak czułem się poniekąd zadowolony, tak dalece ujął mnie nasz dobry, gościnny gospodarz, prawdopodobnie zamięszany tylko przypadkowo w złą sprawę.

Pod wpływem tej szczerej mojej dla niego życzliwości zupełnie zmiękłem.

— Nie gniewaj się na mnie, Pawle Iwanowiczu (tak »go« nazywali), rzekłem — jednakże czuję się w obowiązku wyrazić panu, że oddawna już nie zdarzyło mi się tak przyjemnie spędzić czasu, jak w waszej zacnej i wykształconej rodzinie.

— Czegoż miałbym się gniewać?

— W istocie! Lecz pomimo wszystko... mój obowiązek... moja, że tak powiem, święta powinność...

— Nakazuje panu zabrać mnie ze sobą? Cóż, czy nie powiedziałem panu na wstępie, że gotów jestem w każdej godzinie i na każdem miejscu.

— Tak, lecz mogę pana zapewnić, że ze swej strony zrobię wszystko, co tylko za-

leży odemnie... generałowi... pułkownikowi... wszystkim...

— Zanadto mała jesteś rybką łaskawy panie, byś mógł mi się czem przysłużyć... Jednakowoż dość tej rozmowy. Chodźmy!

Teraz dopiero zauważyłem, że nasze odwiedziny niezupełnie były mu przyjemne!

Marsz!

* * *

Petersburg ginął! Fortecę Piotro-Pawłowską uniosła już woda... Ostatni punkt oparcia. Był to straszny widok; gdzie rzucisz okiem, wszędzie spustoszenie... Dziennikarze krzyczeli, a lojalni faryzeusze cieszyli się...

Wszyscy uczuwali potrzebę wykorzenienia »zła« ze szczętem; wszyscy wydawali dzikie krzyki... Na czem polegało zło? Jaką rolę odgrywało ono w obecnej chwili? O to nikt nie pytał, nie zastanawiał się nad tem, nie tłumaczył. Dotykalnie uczuwało się jedno: że to chwila sprzyjająca działaniu, że to jedna z tych chwil, w której można wyrządzić wszelką możliwą obelgę, a nikt w tym zamęcie o niczem się nie dowie, niczego się nie doszuka...

Odczuwano instynktownie, że skoro się pominie nadarzająca się obecnie sposobność, to kto wie, czy da się ona kiedy jeszcze pochwycić za ogon.

Nie ma widowiska bardziej oślepiającego, jak radość lojalnych. Jest to jakiś już nie hałas, lecz huk: u-u! a-a! ho ho! Widocznie, nie ma tu nawet tak niezbędnej dla wzajemnego porozumienia się odrębności zgłosek, a mimo to, nie można nie domacać się pewnych pojedyńczych „przodujących“ dźwięków, występujących na widownię tylko w pewnych chwilach.

W sprawie młodzieży.

(Dokończenie).

Gdzież się podzieli ci szermierze wolności, członkowie wielkiej rodziny ludzi dobrej woli, rozrzuconych podówczas po wszystkich ogniskach uniwersyteckich? Burza represji rozproszyła ich: słabsi ulegli w tej walce i sprzedali swoje ideały, silniejsi tułają się po różnych zakątkach Galicji i pracują dla idei, inni w cięższych warunkach działają pod zaborem rosyjskim, a jeden z najwybitniejszych, Stanisław Kozłowski, ścigany i gnębiony zakończył życie i śpi cichym snem sprawiedliwych. Cześć jego pamięci!

Ale pozostawmy wspomnienia i wróćmy do rzeczy.

Nastąpiły równoległe śledztwa dyscyplinarne i śledztwa policyjne i sądowe; potem relegacje i nagany oraz wydalania z granic państwa i procesy polityczne.

Znaczna część młodzieży, niosącej wysoko sztandar swych przekonań składała się z elementu nie miejscowego lecz napływowego, który położył, wielkie zasługi w postępowym ruchu młodzieży w Galicji. Tych pozbyć się było łatwo, nastąpiły wydalania z Galicji. Miejscowych sterroryzowano procesami politycznymi, które wprawdzie kończyły się uwolnieniem oskarżonych dla braku istoty czynu, pociągały jednak za sobą długie więzienie śledcze — i relegacjami, które uniemożliwiały postępowym jednostkom działanie w tym samym uniwersyteckiem środowisku.

W tym czasie podniosła głowę partja młodzieży o ideałach bardzo wązkich, która poprzednio nie występowała samodzielnie ze swymi przekonaniami, ale szła ręka w rękę ze zgnębionymi poprzednikami. Na gruzach niedawnej przeszłości zbudowała ona świątynię dla swych ideałów, wzięła w ręce ster ruchu młodzieży i dotąd go dzierży. Czy i o ile dobrze wywiązała się ze swego zadania — niech na to odpowiedzą wszyscy ci, którzy dzisiaj narzekają na zastój w życiu młodzieży.

Rozbitki po zaszłej burzy, która wyrwała z łona postępowej młodzieży najdzielniejsze jednostki, ci, którzy z rozmaitych powodów nie podlegli relegacji, ani wydaleniu, zniechęceni do działalności wśród młodzieży skutkiem znaczenia, jakie nowa partja już zdobyć sobie umiała — poświęcili swoje siły agitacji w innym kierunku. Postępek ten tłumaczy się najzupełniej ówczesnym stanem młodzieży, niemniej jednak w skutkach swoich okazał się szkodliwym. Nie należy lekceważyć pracy wśród młodzieży z powodu skromnych pozornie rezultatów, jakie daje. Nie należy zapominać, że młodzież to przyszła inteligencja kraju, a lata uniwersyteckie to perjod kształcenia się także i w kierunku obywatelskim. Więc i na tych, co usunęli się dobrowolnie od działalności wśród młodzieży, oddając tem samem plac boju w ręce ludzi mniej postępowych, spada w znacznej mierze wina za teraźniejszy stan ruchu młodzieży.

Oto mniej więcej w ogólnych zarysach historja lat ostatnich z życia młodzieży galicyjskiej. Z tego nieprzerwanego szeregu przyczyn i skutków wypływa stan jej obecny. Obraz ten nie byłby jednak zupełnym, gdyby nie było w nim miejsca na rozpatrzenie ostatniego widomego wyrazu ruchu młodzieży, mianowicie czasopisma jej p. t. „Życie“. Nikt dotąd nie rozebrał programu i treści tego pisma krytycznie, a przecież krytyka taka tylko na korzyść pisma wyjść może*).

Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień z góry zaznaczyć muszę, dlaczego nazywam „Życie“ organem młodzieży. Robię to na zasadzie twierdzenia

*) Nadmienić musimy, że krytyczne uwagi o „Życiu“ napisane były przed paru miesiącami, dotyczą więc pierwszych tylko jego numerów. Umieszczenie ich uważamy za pożyteczne, jakkolwiek zdaniem naszem ostatnie właśnie numery złagodziłyby ostrze ogólnych konkluzyj sz. autora.

„Życie“ rozwija się. Nie tyle w zasadniczości traktowania „kwestyj“, co w śmiałości myśli, tej naczelnej może zalecie pisma, które pragnie być organem młodzieży, postęp jest niewątpliwy. (Przyp. Red.)

redakcji we wstępnym artykule, że będzie ono poświęcone głównie interesom młodzieży i pomimo wyrażenia, zawartego w jednym z nastęnych artykułów, gdzie mówiąc o starszej generacji, redakcja wyraża się „my“, gdyż uważam, że musi się ona w każdym razie opierać na pewnej grupie młodzieży, inaczej bowiem pismo nie miałoby racji bytu.

Kiedy pojawił się pierwszy numer „Ogniska“ z artykułem wstępnym „Zamiast programu“, na pismo to napadły organa wszelkich politycznych partji, zaczynając od „Czasu“, kończąc na „Pobudce“. Zarzuty wielu skierowane były przeciw niejasności programu „Ogniska“. Mimowoli przychodzą one na myśl, kiedy się czyta „Słowo wstępne“ w pierwszym numerze „Życia“, do którego w daleko wyższym stopniu zarzut niedostatecznego określenia celów i środków zastosować można.

Trudno się zorjentować, czego właściwie chce „Życie“ i jakiej sprawie będzie służyć. W kwestji oświaty ludu dowiadujemy się, że redakcja chce „rozbudzić społeczeństwo do podjęcia realnej, a rzetelnej pracy, nad oświeceniem ciemnych mas ludu“. Nasuwa się tu pytanie, w jakim kierunku chce „Życie“ oświatę ludu prowadzić? Czy w kierunku uświadamiania mas co do ich społecznych i politycznych interesów, czy też wyłącznie w kierunku kulturalnym? Należało redakcji „Życia“ wypowiedzieć jasno, z którym kierunkiem sympatyzuje.

Nieokreślonem jest również stanowisko „Życia“ wobec dwóch ważnych kwestji: rusińskiej i żydowskiej. Co do pierwszej, „Życie“, nazywając Rusinów „braćmi“, niemniej uważa za swój obowiązek stanowczo wystąpić przeciw wszelkim „zakusom (?) odrębności“. Przypomina to trochę stanowisko słowianofilów rosyjskich względem Polaków; oni również nazywali nas „braćmi“, zastrzegając się przeciw dążeniom „braci“ do niezawisłości.

W kwestji żydowskiej zajmuje „Życie“ stanowisko przeczące: jest przeciwne asymilacji i jest przeciwne antysemityzmowi. Wobec tego pozostaje zagadką, jakie właściwie stanowisko zajmuje.

Czytelnik optymista, po przeczytaniu wstępnego artykułu, żywił zapewne nadzieję, że ciemności w nim panujące zostaną w następnych Nr. rozjaśnione, innymi słowy, że każda z kwestji, zaznaczonych szkicowo we wstępnym artykule, będzie później wyczerpująco traktowaną. Zawodna nadzieja! Następne numera dają nam artykuł w kwestji żydowskiej, nie wiele ją zgłębiający, dość sentymentalne nawoływanie starszych, aby szli ręka w rękę z młodzieżą*) (głos wołającego na puszczy), dalej utyskiwanie nad stanowiskiem, jakie prasa zajmuje względem młodzieży**). Czyżby „Życie“ chciało wziąść monopol na omawianie spraw młodzieży?

Autor artykułu „Ze sfer akademickich“ nic nowego w kwestyi spornej nie podaje, natomiast zadaje czytelnikom ciekawą zagadkę: „Jakim sposobem $^1/_4$ część młodzieży akademickiej bogata, zwyrodniała i t, d. umiała tak zahypnotyzować $^3/_4$ młodzieży ubogiej i uczciwej, że życie ogółu akademickiego robi wrażenie cuchnącej sadzawki? Niestety autor rozwiązania nie podaje, chociaż twierdzi stanowczo, że wina leży po stronie młodzieży bogatej. Tu właśnie leży błąd: stosunek zamożności pomiędzy młodzieżą akademicką był zawsze ten sam, co i dziś, tylko dawniej młodzież uboga była czynniejszą, niż teraz — w tem leży różnica. „Życie“ powinnoby raz na zawsze wykreślić ze swego programu oddziaływania na młodzież jeremiady nad młodzieżą bogatą, — winno zaś zwrócić się z krytyką, nie adoracyą do tych, którzy zawsze prowadzili wszelkie ruchy młodzieży — do proletarjatu studenckiego.

Artykuł p. t. „Uniwersytety robocze“ posiada pewną wartość; ogólną, ze względu na to, że porusza kwestję żywotną i ważną i to w sposób poważny, — i szczególną, ponieważ odsłania rąbek zasłony, okrywającej poglądy „Życia“ na oświatę ludu. Znajduje się tam mianowicie ustęp następujący: „Najmniej zaś uwagi na rzetelne wykształcenie robotnika zwracają t. zw. towarzystwa robotnicze. Poświęcają one wszystkie swe siły na wyrabianie z robotników agitatorów niemieckiego kollektywizmu“. Ponieważ wspomniane towarzystwa zwracają głównie uwagę na klasowe uświadomienie robotnika i w tym kierunku go oświecają, więc widzimy, że ten właśnie kierunek „Życiu“ się nie podoba. Co do słów „niemiecki kollektywizm“, to trudno zrozumieć co mianem tym „Życie“ obdarza. Można się jedynie domyślać, że chodzi tu o teorję wartości Marksa. „Życiu“ pragnącemu stać na gruncie tradycyj narodowych warto przypomnieć słowa, wypowiedziane w r. 1836, a zatem przed postawieniem teoryj wartości: „Społeczność obowiązkom swoim wierna prawo posiadania — pracy jedynie przyznaje“. Demokraci współcześni powinniby pamiętać o stanowisku wielkich swych poprzedników z lat 30 i 40-tych.

Z powyżej wypowiedzianego wynika:

1. ża „Życie“ jest pismem o niejednolitym i nieokreślonym programie;

2. że fakt powstania „Życia“ nie przeczy bynajmniej zarzutom, stawionym młodzieży polskiej w Galicji.

Smutną byłaby jej przyszłość, gdyby nie niespożyta siła wiecznych ideałów ludzkości, ktora i ją kiedyś ze snu letargicznego przebudzi.

W. Pal.

*) Artykuł „Młodzi a starzy“ w Nr. 3.

**) „Zapiski“ w Nr. 3. „Młynarz, syn jego i osioł“; „Życie“ niezbyt pochlebną rolę w bajce przeznacza młodzieży